Ner. 5. Kraków 27 października 1866. Rok I.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c.— *Prenumerata zagraniczna* bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a. **Mody i kroje** *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. **Nuty** rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycya, albo w księgarni Wgo. Czecha. *We Lwowie* można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém. *W Poznaniu* w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

Od Redakcyi.

Upraszamy Sz. PP., którym przesłane zostały **„Listy prenumeracyjne“**, o zwrot takowych.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

III.

Miodowy miesiąc.

(Ciąg dalszy.)

Drugiego dnia po tych wypadkach państwo młodzi wyjechali do siebie — odwozili ich rodzice pana młodego. Czas był słotny i zimny, gęsty deszcz zacinał z boku w okna powozu, w którym siedzieli małżonkowie. Czy to pora słotna czy co innego było przyczyną, że i między nimi nie było słońca, uśmiechu, wesołości, pieszczot. Pan młody był czegoś zasępiony i poważny. Anna nie uważała tego, bo i ona również była pod naciskiem jakichś przykrych rozmyślań. Porzucenie domu rodzinnego, przejście pod wyłączną opiekę mężczyzny, którego się zna od niedawna, każdą kobietę przejmuje jakąś trwogą — cóż dopiero mówić o niéj, która w chwili tego przejścia utknęła o jakieś brudne tajemnice rodziny, do któréj teraz należeć miała. Z drżeniem i niepokojem patrzała na teścia, którego nazwano łotrem. Dla czego? Nie śmiała o to pytać nikogo — milczenie męża w tym względzie jeszcze bardziéj ją przestraszało. Wciąż widziała przed sobą tego człowieka potwornéj twarzy, z wyciągniętą ręką, piętnującego słowami jéj teścia — i ten człowiek przyszedł razem z Janem. To wydawało się jéj równie dziwném, zagadkowém i przestraszającém. Zjawienie się Jana w dzień jéj wesela, zdawało jéj się jakimś wyrzutem; wzrok, jakim spojrzał na nią w chwili wejścia, zdawał się oskarżać ją o coś. Przypomniało jéj się teraz jak raz Jan był niebezpiecznie chory — ona czuwała przy łóżku śpiącego; twarz jego była rozpalona gorączką, oddech krótki, męczący, a sen niespokojny; gdy się przebudził, spojrzał w około nieprzytomnie, z przestrachem — potém na niéj zatrzymał swe oczy błyszczące, błędne i odetchnął swobodniéj. Wtedy ona położyła rękę na jego czole i spytała: musiało ci się śnić coś strasznego? — Okropna rzecz mi się śniła — odrzekł — śniło mi się, że ty Andziu odjeżdżałaś gdzieś, daleko — na zawsze, że cię już nigdy nie miałem zobaczyć. Bogu dzięki, że to był sen tylko. — Anna zapomniała potém o téj chwili, dziś niewiedzieć zkąd stanęła żywo w jéj myśli wiodąc za sobą szereg wspomnień z lat dziecinnych, które przeżyła z Janem. Wspomnienia te tłoczyły się gwałtownie — odpychane chwilowém roztargnieniem wracały znowu i męczyły ją swoją obecnością, zdawały się razem z deszczem tłuc w szyby powozu i dobijać się, by je wpuszczono. Anna z wysileniem próbowała otrząsnąć się z tych myśli, — odwróciła oczy od okna w głąb powozu i spotkała się z badawczém, trochę ponurém spojrzeniem męża.

— O czém w téj chwili myślałaś? — spytał topiąc w jéj twarzy przenikliwe spojrzenie.

Anna się zarumieniła mocno za swoje myśli — nie wiedziała co powiedzieć — skłamała mówiąc, że o niczém.

Pan młody nie pytał więcéj, ale sposępniał jeszcze bardziéj i milczał przez całą drogę.

Drugiego dnia wieczorem stanęli na miejscu. Dwór był piękny, nawet elegancki, ale bliskość ciemnego świerkowego lasu czyniła go posępnym — szczególniéj o zmroku. Anna z drżeniem przestępowała próg tego domu. — Przyczyniało się jeszcze do tego postępowanie męża, którego zrozumieć nie mogła. Dawną czułość zastąpił jakąś surową powagą, od któréj wiało zimno — widocznie przymuszał się do uśmiechu, do rozmowy z nią. Zaraz po herbacie wstał, pocałował ją w czoło i wyszedł. Chciała go zatrzymać, słowa uwięzgły jéj w piersiach — może nieśmiała prosić, może za dumną była, aby prosić. Odeszła do swego pokoju ukryć łzy i smutek.

Pan młody nie wrócił do siebie — poszedł na górę do ojca. Od owéj chwili na weselu nie mówili prawie ze sobą i ojciec i syn unikali tego — to téż trudno im było teraz przerwać milczenie. Rozpoczął syn.

— Powiedz mi ojcze, co zaszło między tobą a wujem? —

— Cóż to — indagacyja? —

— Nie, chęć dowiedzenia się prawdy. Wuj zelżył cię ojcze; jeżeli niesłusznie — to będzie miał ze mną do czynienia — nawet więzienie moskiewskie nie skryje go; ale jeżeli....

Tu zawachał się — nie wiedział jak powiedzieć to, co chciał powiedzieć.

— Przyszedłeś jako sędzia — nie jako syn.

— Ojcze, hańba twoja i mnie piętnuje — rzekł syn z godnością i wyrzutem.

— No i cóż chcesz, żebym ci powiedział? — spytał ojciec niecierpliwie.

— Dla czego dotąd nigdy nie wspominałeś mi, że mam wuja? —

— Bo nie było o czém.

— Jest w tém jakaś nieczysta tajemnica, odkryj mi ją ojcze, uspokój mnie — ja teraz nie umiem spojrzeć ludziom prosto w oczy. Czego ten człowiek chce od nas, cośmy mu winni?

— Alboż ja wiem? Był zawsze szaleńcem, waryjatem. Upatrzył sobie coś do mnie i prześladuje mnie.

— Nie jesteś szczérym ze mną mój ojcze.

— Mój Maurycy, nie męcz mnie dłużéj wspomnieniem tego włóczęgi — to mnie drażni — mówił ojciec, chodząc niespokojnie po pokoju.

Maurycy spojrzał na ojca dziwnym wzrokiem — i wyszedł. Przechodząc koło pokoju żony, zatrzymał się chwilę, przez dziurkę od klucza padało światło na sień, nie spała więc jeszcze. Maurycy namyślał się czy wejść, już brał za klamkę — naraz zmienił postanowienie i poszedł do siebie. Oddalił służącego, który go chciał rozbierać i rzucił się w krzesło. Założył ręce w tył głowy i zapatrzony szklannemi oczyma w płomień lampy, siedział długo tak nieruchomy.

Gdyby można obrazy myśli odfotografować, to myśli Maurycego w téj chwili dałyby nam fotografię owéj sceny na weselu. Przypomnijmy sobie, że Maurycy w chwili wejścia niespodziewanych gości rozmawiał właśnie z Anną pod oleandrem, miał oczy utkwione w jéj twarzy, mógł więc dobrze pochwycić każdy odcień zmiany na niéj. Uważał że Anna wtedy pobladła, że kiedy spojrzenie jéj spotkało się ze wzrokiem jednego z przybyłych — młodszego, drgnęła lekko i kwiat oleandru wypadał jéj z ręki. To pomieszanie zastanowiło go — nie miał jednak czasu dłużéj myśleć nad tém, bo wnet gromkie słowa syberyjczyka zagrzmiały mu w ustach i ogłuszyły go. Ale teraz to chwilowe podejrzenie wypełzło jak szkaradny robak, rozsiadło się na jego szczęściu i gryzło je i plamiło. Annie nie był obcym ten młody człowiek — myślał Maurycy — co więcéj, nie musiał jéj być obojętnym, kiedy widok jego tak ją wzruszył. I dla czego mu nic nigdy nie wspominała o tym człowieku?

Zazdrość ukłuła go w serce — hańba ojca paliła mu twarz wstydem — zerwał się i chodził szybko po pokoju — zdawało się, że uciekał przed temi myślami, które go się uczepiły i wlekły się za nim jak węże laokoońskie, próżno się duch szarpał, nie mógł się pozbyć tych więzów.

Późno w noc widać było jeszcze światło w pokoju Maurycego i cień jego na szybach okna.

Na drugi dzień rano był u matki. Od niéj chciał dowiedzieć się tego, czego mu ojciec powiedzieć nie chciał. Zastał ją słabą, z oczami zapłakanemi. Prosiła go, by nie wspominał o tém przed ojcem, że ją widział zapłakaną. Gdy ją zapytał o wuja, rzekła:

— Maurycy, jeżeli szanujesz mój spokój, nie pytaj mnie nigdy o to.

Milczenie ojca i matki naprowadziło go na dziwaczne domysły, tajemniczość go niepokoiła, bądź co bądź, chciał dowiedzieć się o wszystkiém. Zaraz w kilka dni po odjeździe rodziców postanowił wyjechać do powiatowego miasta, gdzie spodziewał się zastać jeszcze wuja w więzieniu, chciał się z nim widzieć koniecznie i od niego żądać wytłómaczenia — wierzył więcéj w porywczość syberyjczyka, niż winę ojca — ale chciał pewności, prawdy. — Żonę zdziwił nie mało ten nagły wyjazd — uważała to za nowy dowód obojętności i upokorzenia dla siebie, serce pękało z żalu, że się zawiodła na miłości męża, ale ani go prosiła żeby został, ani pytała o przyczynę wyjazdu — obrażona miłość własna zamykała jéj usta.

— Niech jedzie — rzekła do siebie patrząc przez okno za odjeżdżającym. Gdy gęsty obłok kurzu zakrył już powóz, spokój, w którym się utrzymywała dotąd z wysileniem, ustąpił teraz miejsca boleści gwałtownéj.

— O! on mnie już nie kocha — mówiła zanosząc

się od płaczu i łkając głośno. — Następnie dnie przeszły jéj bardzo smutno w posępnym dworze — szukała pociechy w modlitwie, rozrywki w zajęciach. Zajmowała się gospodarstwem, urządzeniem mieszkania, rozpakowaniem rzeczy i ustawieniem drobiazgów. Jednego wieczora przeglądała tekę swoją, między papierami znalazła rysunek robiony przez Jana dla niéj na imieniny i fotografię jego. Rysunek przedstawiał wnętrze lasu: z za bluszczów i powoju, z za gęstwiny krzaków i szerokich liści wychylała się giętka postać Rusałki — w jednéj ręce podniesionéj w górę po nad głową trzyma lekką gazową zasłonę, która jéj twarz okrywa; drugą ręką, uśmiechem i czarnemi oczami, co spotęgowanym blaskiem błyszczą przez zasłonę, wabi do siebie — a sama ucieka. Rusałka miała jéj rysy.

Anna długo trzymała rysunek w ręce, przypominała sobie chwilę, w któréj go dostała od Jana — potém spojrzała na fotografię. Były to jedyne pamiątki po nim — te pamiątki teraz wydawały się jéj grzechem — chciała ich się pozbyć. Przysunęła fotografię do świecy, ogień wnet czepił się papieru, popalił brzegi i posuwał się ku twarzy. Twarz Jana była krwawą od blasku płomienia — oczy obrazka patrzały na nią tak wymownie, jakby człowiek żywy — to ją przeraziło, nie miała odwagi patrzeć jak ta twarz palić się będzie — dmuchnęła i zagasiła ogień.

W téj chwili ktoś wszedł do pokoju.

Anna obejrzała się — i ujrzała jakiegoś nieznajomego człowieka, chciała krzyknąć.

— Na Boga, milczenie — rzekł przybyły. — Przeszedłem tutaj niepostrzeżony od służby prosić pani o schronienie dla nieszczęśliwego, który w lasach kryć się musi przed żandarmami moskiewskimi. Jest mocno chory — umrze jeżeli nie będzie miał wygodnego schronienia i opieki.

— Gdzie on jest?

— W lesie — o kilkaset kroków ztąd.

— Więc trzeba posłać po niego.

— Nie teraz. Skoro służba pójdzie na spoczynek, każ pani jednemu ze służących, do którego masz największe zaufanie, czuwać. Koło północy przyniesiemy go tutaj. Ostrożność konieczna, bo nas tropią. Tu będzie bezpieczny.

— Spiesz pan więc.

Przybyły zawahał się.

— Służba spostrzedz mnie może, czy niema innego wyjścia?

Anna namyśliła się chwilkę, potém wskazała okno.

— To okno wychodzi na ogród, który dotyka do lasu. Tędy go także wprowadzić możecie.

Nieznajomy otworzył okno, skoczył między krzaki i znikł w ciemnościach. Anna zadzwoniła. Ta dziwna nocna przygoda ocuciła ją z letargu smutku, w jakim była od dni kilku. Szło o ratowanie człowieka od Moskali i choroby — to dosyć było dla niéj, ta myśl wyłącznie ją zajęła — zapomniała zupełnie o sobie.

Wszedł służący, stary Mateusz, który z przywiązania do panienki, porzucił swego starego pana i przyjechał tu z nią.

— Mateuszu, w gościnnym pokoju przygotuj łóżko dla chorego — zapal w piecu sam — rozumiesz — sam. Niech nikt o tém nie wie.

Mateusz spojrzał na nią wielkiemi oczami.

— A potém wróć tu stary do mnie.

— Proszę panienki (nie mógł się stary odzwyczaić tak ją nazywać) ja nic z tego nie rozumiem. Dla kogoż to wszystko?

— Dla nieszczęśliwego.

Mateusz skinął głową na znak, że rozumie i wyszedł, nie pytając o nic więcéj. Anna nasłuchiwała szelestu od strony lasu. — Przez otwarte okno zawiał wiatr chłodny, jesienny, dreszcz ją przeszedł, może z zimna, może z trwożnego oczekiwania. Przeszła się po pokoju, otworzyła swoją domową apteczkę, dobyła z niéj cucących kropli i bandaży od przypadku. Mateusz wrócił.

— Już wszystko. Teraz może iść ku bramie.

— Nie trzeba, tędy wejdą — pokazała na okno. — Zobacz czy nie idą.

— Słychać chrupotanie suchych gałązek w ogrodzie — muszą iść z ciężarem.

Niezadługo zbliżyli się do okna jacyś ludzie, niosąc na kijach nakrytych burkami i liściami chorego człowieka. Z trudnością wsunięto go przez okno do pokoju. Anna zadrżała — w leżącym poznała syberyjczyka. Za nim na ciemném tle nocy, bieliła się twarz Jana.

Niezginęli więc w owéj fatalnéj nocy. Widzieliśmy wtedy jak Marcin nakłaniany przez oficera, aby poszedł do domu, ociągał się — i w nadziei, że będzie potrzebny, cofnął się w tył i czekał. Wkrótce przyszła mu myśl, że kozacy stoczywszy się z mostu, będą może potrzebowali czyjéj pomocy, aby więcéj nie wyleźć w górę. Cichaczem więc zsunął się w parów i zaczajony z boku czekał. Uderzenie bryczki o most i jego przeraziło okropnie — takiego wypadku nie przewidywał. Skoro więc bryczka spadłszy roztrzaskała się z łoskotem, pospieszył na ratunek. Konie szamotały się jeszcze z resztkami wózka w ciasnym wąwozie, przezco kaleczyły i tłukły ludzi leżących pod niemi. Marcin skoczył między nie, rozpoznał w ciemności więźniów, schwycił ich w swoje herkulesowe ręce i odciągnął na bezpieczniejsze miejsce. Młodszy wnet przyszedł do siebie — inna rzecz była z syberyjczykiem, Marcin pomacał go był sztywny, czuł jego krew przeciekającą przez palce. Nie było czasu do trzeźwienia. Tam w górze słychać było jak kapitan i kozacy okrążywszy parów, galopem czwałowali do miasta, za godzinę wrócić mogą. Marcin nie namyślał się wiele, wziął syberyjczyka na ręce i unosił go spodem parowu do lasu brodząc po błocie i wo-

dzie — niewiedząc czy niesie trupa czy człowieka — za nim szedł Jan z trudnością z powodu ciemności i mocnego stłuczenia. Dostali się wreszcie do lasu — tam trzeba się było przedzierać przez zarośla poplątane, przez poobalane spruchniałe pnie drzew. Marcin dyszał jak miech, pot lał się z niego wraz z krwią, co ciekła z ran niesionego — nie ustawał jednak, bo była jeszcze ciągle obawa moskiewskiéj pogoni. O świtaniu dopiero Marcin i Jan poznali się wzajemnie. Nie było czasu na długie powitanie — reszta towarzyszów nadciągnęła, zrobiono nosze, na które wzięto omdlałego, dającego jeszcze znaki życia — i rozeszli się. Marcin spieszył ku domowi, by uniknąć poszlaki — a reszta zapuściła się w lasy. Szli tak dni parę. Stan chorego w skutek zimna i niewygód coraz się pogorszał — potrzeba było znaleść dla niego bezpieczne schronienie i pomoc lekarską. Wysłano z tém jednego do pobliskiego dworu. Przypadek (jeżeli wierzycie w przypadek) chciał, że to był właśnie dwór Mauryccgo. Ludzie, którzy sądzili, że się już więcéj nie spotkają w życiu — schodzą się znowu.

(Ciąg d. nast.)

Kapryśna.

Siedzi dziewcze zadąsane
Pod różowym krzewem; —
Wonny wietrzyk leci,
Gwiazdek dużo świeci,
Słowik zaleca się śpiewem.

Siedzi dziewcze zadąsane,
W białych rączkach róża; —
Jasną główką kiwa,
Listki z róży zrywa,
Z ocząt upadła łza duża.

Wietrzyk ją zobaczył w locie,
Rozniósł o niéj wieści:
„Że w różyczek gronie,
Gdzie ciche ustronie,
Dzieweczka płacze z boleści“.

Leciał wietrzyk, zdmuchnął dąsy,
Dziewcze włosy splata; —
Po bieluchnéj twarzy,
Płomyk się już żarzy,
Figlarny uśmiech przelata.

Ujrzały ją gwiazdy z góry,
Mówią szczebiotliwe:
„Z oczek radość błyska,
Z buzi uśmiech tryska,
Jakież to dziewcze szczęśliwe“.

Słowik słuchał niesłuchając,
Nucił sobie swoje:
„Kocham i śmiejące,
Kocham i płaczące
Was wszystkie różyczki moje“.

O.

STANISŁAW MONIUSZKO
w świecie muzycznym.

przez *St. Dunieckiego.*

(Ciąg dalszy.)

Znaleźli się *) jednak wkrótce tacy, którzy wziąwszy ją pod zimny skalpel uprzedzonéj krytyki, zaczęli wyszukiwać różne błędy, skarzyli się nawet na nieumiejętność téj muzyki; sam słyszałem zdania, że i uczniowie by się do takich błędów nieprzyznawali. Niech im Moniuszko przebaczy: „zaprawdę nie wiedzą co czynią“ — O biedny artysta: gdy on przy każdém swém dziele dając część swego istnienia, stara się wlać w nie całą swą duszę, krytyk szuka tam kwint zakazanych i tematycznych przeprowadzeń; głębokość myśli, charakterystyka, skarby melodyi i harmonii nic u niego nie znaczą, jeśli jedna nuta nie na swojém miejscu, jedna modulacyja nie podług reguł. O biedna muzyko, czyż długo jeszcze jęczeć będziesz w kontrapunktycznych swych więzach! Muzyka przechodzi niezawodnie na pole zupełnie nowe, a formy wiekowe runą wkrótce, zostawując tylko wieczną regułę: co piękne, co głębokie i prawdziwe — to jest dobre. Wprawdzie trudno określić co jest pięknem, ale prawdziwy artysta przez zmysł wrodzony nigdy od niego się nie oddali. Jak „Konrad Wallenrod“, jak „Przedświt“ i „Psalmy przyszłości“ — tak i „Halka“ jest wyrazem smutnéj lecz wielkiéj epoki, którą przebyliśmy. A jednak, nawet i zarzut owych krytyków wspomnianych jest niewłaściwy; znajdujemy w „Halce“ przeprowadzenia prawdziwie uczone, a że nie naśladuje nikogo, w tém właśnie jest zaleta. Instrumentacyja „Halki“ stosownie do kolorytu, niema także téj jasności, którą spostrzegamy w innych utworach; efekta jéj są jakby mgłą przyćmione i charakteryzują doskonale smętność śpiewu naszego ludu.

Po świetnem powodzeniu „Halki“, Muniuszko party przez publiczność do napisania jakiéj nowości, napisał w bardzo krótkim czasie operę komiczną: „Flis“ do słów Bogusławskiego. W operze téj może dla pospiechu kompozytora znajdują się ustępy mniéj uwagi godne. Jednakże i we „Flisie“ są mnogie piękności, np. śpiew Zosi: „Ach, może on wśród téj burzy“ — pieśń ta pro-

*) Z powodu pomyłki jaka się wkradła przy korekcie w ostatnim ustępie tego artykułu w zeszłym numerze — ustęp ów powtarzamy.

sta pod rytmem mazurka, kryje melodyję uroczą i harmoniję głęboką, klasyczną. Również pierwsza modlitwa i chór flisaków, pieśń Franka — są numera prześliczne.

Nie długo potém przedstawił nam Moniuszko nowe arcydzieło, jest niém: „Verbum nobile“. Muzyka téj opery jest najwięcéj napiętnowana oryginalną twórczością mistrza; tu już niema ani jednéj nuty, ani jednego zwrotu, któryby nie należał do Moniuszki. O ile „Halka“ jest ludową, o tyle „Verbum“ czysto szlachecki ma charakter. Słuchając téj muzyki, zdaje nam się rzeczywiście, żeśmy przeniesieni w czasy kontuszów, karabeli, sejmików; że oddychamy miłém powietrzem naszych lasów i łanów. Jak „Freischütza“ niemożna oderwać od niemieckiéj narodowéj romantyki, tak również i „Verbum“ niepodobna oddzielić od narodowości staropolskiéj, która w najmniejszym ustępie opery przebija. Jeżeli kto nie wierzy, jak się u nas zdarza, w muzykę polską, niech posłucha „Verbum“, a pozna ją. Zaraz przy podniesieniu zasłony, cudna wiejska serenada, przenosi nas wspomnieniem do wiosek rodzinnych — takie to proste, tak rzewne, a tak głęboko piękne! — Albo „Recitativo“ przy wejściu Zosi! W téj zużytéj formie „Recitativo“ stworzył Moniuszko coś tak uroczego, osobliwie przy słowach Zosi: „Ja nie wiem“, że nikt nie pozostanie zimnym słuchaczem przy téj scenie, a niejednemu łza się zakręci! — Również piękna pieśń kochanka: „Zakaż niech ożywcze słonko“ — jest tak polska, a tak głęboko pomyślna, że obok niéj znam tylko jedną, z którąby ją porównać można, tj. „Pieśń Maksa“ w akcie pierwszym „Freischütza“. — A duet „Kochanków“ — a polonez „Dam ci ptaszka“, korona wszystkich polonezów, który wygłaszany przez Köhlera, stał się własnością całéj Warszawy; — albo duet „dwóch ojców“! Czy tam choć jedna nuta, którąby nie malowała jak najściśléj charaktery, a wszystko ubrane w melodyje tak ujmujące!

Szczupłe ramy tego pisma nie pozwalają nam przejść jakbyśmy chcieli każdego numeru, odkrywając naszym czytelniczkom piękności każdego ustępu, niemal każdego taktu. Nie możemy jednak przemilczeć cudnego krakowiaka: „Zakończone nasze troski“ — którego melodyja ujmuje odrazu i olśniewa. — „Verbum“ jako przystępniejsze od „Halki“, zajmie i w wyjątkach, dla tego radzimy z serca każdemu zapoznać się z tąmuzyką; w wiejskiém zaciszu uprzyjemnić ona może niejedną chwilę.

(Dokoń. nast.)

KAPRERA.

III.

Kaprera. — Mieszkanie Garibaldego. — Szczegóły jego mieszkania. — Garibaldi. — Kilka epizodów z jego życia. — Zajęcia i zabawy jenerała i jego orszaku.

(Ciąg dalszy.)

Kaprera ma także swój port naturalny, gdzie stoi kilka łodzi i jeden maleńki statek; niedaleko brzegu jest rodzaj magazynu murowanego na różne przybory, służące do napraw łodzi; tam składają żagle i jest cały arsenał morski. Przybywający jednak nie udają się do portu, bo ten dosyć jest oddalony od domu mieszkalnego, ale płynąc w prostym kierunku z wyspy Magdaleny wysiadają zaraz na kamienistym brzegu wyspy, który przebywszy, wchodzi się dopiero na pola wyspy. Z tych najpiękniejszy kawałek tak do pięciu morgów naszych, jest własnością Angielki, właścicielki pałacyku na wyspie ś. Magdaleny.

Kształt Kaprery jest nieregularny, liczy ona dwadzieścia kilka mil włoskich obwodu, przedzielona jest środkiem pasmem gór skalistych, wznoszących się o 1500 stóp nad powierzchnią morza. Posiada liczne i nieustające źródła, które w różnych kierunkach przerzynają pola płynąc do morza. Klimat jest łagodniejszy jak we Włoszech skutkiem chłodnego wiatru od morza. Grunt żyzny, rodzą się tu wszystkie owoce bez wielkiego nawet zachodu, na wzgórzach rosną rośliny i zioła, których w sąsiednim niema klimacie.

Budynków z przybyciem do wyspy nie widać, zasłaniają je skały. Miejsca nie obrócone jeszcze w uprawne pola, trudnemi są do przebycia, ziemia ta nierówna i chropowata, zapełniona jest kamieniami i krzewami zwanemi *makki*, zaroślami z janowcu, które wypalają karczując dla zasiewu ziemi.

Pól uprawnych będzie do stu morgów, są one od reszty wyspy przedzielone murem z ułożonych kamieni, które się wyzbierują przy karczowaniu, mury te są potrzebne dla ochrony pól od zwierząt domowych, które tu dziko są puszczone na wyspie. W stajniach, przy budynkach jest tylko ilość bydła potrzebna do utrzymania domu: za murem przedzielającym pola, znajdują się ogrodzenia tożsamo z kamienia z schronieniami równie kamiennemi, pokryte trzciną i przeznaczone dla tychże zwierząt; takie stajenki mieszczą się na całéj długości muru w różnych odstępach.

Ścieżka prowadzi pomiędzy pola uprawne pszenicą, jęczmieniem i owsem, potém rozpoczynają się skały, raczéj wielkie kawały kamieni, na których różne krzewy i kaktusy z obu stron ścieżki. Kamienie te dziwny mają kształt: jeden z nich jest zupełnie jak olbrzymi grzyb, pod którym nawet jak pod deszczochronem skryćby się można, bogaty pod nim jest kobierzec z mchu nader miękki a niemający wilgoci, dodajmy jeszcze rodzaj pięknego bluszczu który się wije ubierając postawę tę kamienną; w rozpadlinach piękne rośliny, długotrwałe, których kwiaty jak z sukna, kaktusy kwitnące a mieć możemy niedokładny obraz ścieżki. Uwagi godnym jest tam także rodzaj krzewu, mającego z liścia, kwiatu, koloru i kształtu podobieństwo do naszego mieczu. Wychodzi się nagle z tak krętéj ścieżki z pomiędzy tych kamieni i staje przed domem murowanym z kamienia, którego skrzydło wznosi się na piętro.

Przed nim o jakie kilkanaście kroków na skale młyn wietrzny. Po prawéj stronie domu są ogrodzenia z żerdek, w których z kolei pasie się bydło i konie, służące do użytku lub roboty; po lewéj stronie ciągnie się długi szereg ogrodów z warzywem, owocami i winnice; ilość podobnych murów jak pierwsze, świadczy jak częściowo zakładane były. Wszędzie widać dopiero rozpoczęto pracę, znaczny postęp świadczy o pilności właściciela.

Gdyśmy przybyli, Garibaldi był w ogrodzie. Nie bez wzruszenia zbliżaliśmy się do tego człowieka, który dziś jest sztandarem wolności ludów. Z właściwą sobie łagodnością, z pewną mistyczną poświęcenia aureolą, jaka go zawsze otacza, wyszedł ku nam Garibaldi, po przedstawieniu przez hrabię T. jenerała i Władysława R., uścisnął każdego po kolei za rękę. Chodząc po ogrodzie *il Padre*, jak nazywaliśmy Garibaldego, żywo rozmawiał z jenerałem, dowiedziawszy się że przybył dopiero co z kraju, wypytywał go o ostatnie warszawskie wypadki, jakby niedowierzając tym tradycyjnym napadom caratu, niepojmując zwierzęcości państwa wdzierającego się w szeregi państw cywilizowanych Europy.

Z ogrodu powróciliśmy do domu, jest on obszerny postawiony z kamienia, z świeżo przybudowaném skrzydłem na jedno piętro, obrócony jest ku południowi, ażeby zimą lepiéj dochodziły promienie słońca a trudniejszy miały przystęp latem, kiedy się słońce wzniesie najwyżéj. W sieni przy ścianie jest koło od wodociągu, ażeby mieć zawsze świeżą wodę; po prawéj stronie od wejścia dwa pokoje zajmuje Garibaldi, trzeci jeden z adjutantów, po lewéj stronie jest obszerna kuchnia, spiżarnia i sala jadalna. To razem stanowi dawny dom. Z sieni, która przez cały dom idzie, wychodzi się na podworzec, tu przeszedłszy mały ogródek, zaczynający się zpod okna Garibaldego, idzie się do przybudowanego skrzydła, które się składa z kilkunastu pokoi. Ogródek ten mały obfituje w śliczne kwiaty, których Garibaldi wielkim lubownikiem i sam koło nich chodzi. Przed wchodowemi drzwiami jest także wystawa z kwiatów, formująca altankę. Na dole skrzydła mieści się zbrojownia, niema w niéj zabytków starożytnéj broni, ale za to wszystkie najnowsze wynalazki karabinów, których próby codziennie się odbywają. Także bilard stoi na dole, na piętrze jest duża sala gościnna, przy téj mniejsza z przyborami i instrumentami do muzyki. Każde miejsce w tym domu ma swe przeznaczenie, sprzęty nie wyszukane ale wygodne, wszędzie jak największa panuje czystość.

Wygodne piwnice kute w skale, dobre są do przechowania wina. Mimo że na całéj wyspie Kaprerze niema ani jednéj kobiety i tylko czasami córka Garibaldego na parę dni zawita, spiżarnia utrzymana w godnym naśladowania porządku, systematyczność ztąd ta wynika, że Garibaldi nie lubi, ażeby czegoś dopiero szukać.

Zarząd kuchni, cały wydział gospodarstwa wewnętrzny, jest pod panowaniem kucharza, byłego austryjackiego żołnierza, rodem z Wiednia. Niemiec ten tak się tam przyzwyczaił, tak przywiązał do Garibaldego, ujęty szacunkiem jakiego tu doznaje i ufnością, że nieopuściłby swéj posady za żadne skarby świata. Wszystko uważa za swoją własność, pilnuje jak swego i stara się dogadzać każdemu, co przy tylu gościach nie jest łatwą rzeczą.

Z lewéj strony domu stoi jeszcze pawilon z forsztów sosnowych, o trzech pokojach, pokryty blachą cynkową. Jeden z tych pokoi zajmuje major Redeschini, jest to zarazem kancelaryja, tam odbiera pocztę, otwiera i odnosi dopiero Garibaldemu i znów potém według skazanych rozkazów odpisuje. Najwięcéj przychodzi zawsze listów z Anglii, są one po największéj części albo z prośbą o parę słów własną ręką, albo o fotografiją z podpisem, na pamiątkę. Podobnym prośbom Garibaldi zawsze czyni zadosyć. — Pokój drugi zajmuje młodszy syn Garibaldego, poświęcający się chemii; w trzecim pokoju ma on swoje laboratorium chemiczne.

Dziedziniec napełniony kurami, kaczkami, indykami, pawiami, całe królestwo ptaków domowych, dla których wspaniały stoi kurnik po prawéj stronie dziedzińca; po lewéj są stajnie, obory, w których jest dwanaście krów dojnych, konie robocze, jeden wierzchowy, ulubiony ogier kasztanowaty arabski, dwa woły i cztéry osły. Wszystkie te zwierzęta domowe w ogólności są znacznie mniejsze, co pochodzi ztąd, iż żyją ciągle w stanie dzikości, aż do czasu, w którym się je obraca do domowego użytku. Krów tak wolno chodzących po wyspie, jest przeszło sto. Osły są maleńkie, zwykle się je strzela, a mięso razem z wieprzowem obraca na salami, które Wiedeńczyk z wielką znajomością swéj sztuki przyrządza.

Za ogrodzeniami, w których się bydło i konie paszą, stoi kilka małych chatek, krytych trzciną; te zamieszkują stali robotnicy, dla których Garibaldi ma jak dla wszystkich równe względy, stara się obudzić w nich uczucie godności i tém skłania ich do ściślejszego pełnienia powinności, bez żadnego nadzoru; takie postępowanie skuteczniejsze nad wszelkie kary. Zaraz za podworcem jest strzelnica — raczéj przestrzeń między skałami — odmierzona krokami i na skałach farbą olejną napisana tak odległość, jak szerokość tarczy. Za każdym strzałem za pomocą lornety śledzi się trafu, przez to się oszczędza chodzenie. Tylko przedziurawioną bardzo tarczę się zmienia.

Umyślnie zająłem się najprzód opisem miejscowości i otoczenia — ono bowiem już samo mówi wiele o tym człowieku. Opisać Garibaldego, nie jest to łatwą rzeczą, tém bardziéj dla tego, co w swém piórze prócz dobrych chęci, tak mało ma mocy. Robię jednak tę

próbę, licząc na chwilę natchnienia, które mi udzieli wspomnienie miłych chwil niegdyś doznanych.

(Ciąg d. nast.)

Kronika krakowska.

Ruch towarzyski. — Kasyno miejskie. — Kasyno artyst.-literackie. — Pensyjonaty. — Teatr. — Albumy ról. — Wystawa obrazów. — Tow. konsumcyjne.

Baliśmy się już o miasto nasze, że w skutek niedawnéj wojny, obecnéj cholery, a przyszłego przeniesienia urzędów — wyludni się, zbiednieje i obumrze. Tymczasem właśnie te przyczyny wprost przeciwnie działają — obawa śmierci rodzi życie, przeczucie stagnacyi budzi ruch. Nie jest to żaden ruch rewolucyjny, broń Boże — jest to sobie poprostu ruch towarzyski, który jednak w Krakowie podzielonym na kasty i kółeczka niespojone z sobą, ma zawsze coś rewolucyjnego, bo przewrot zapleśniałego porządku. Téj czynności podjęło się kasyno miejskie, zawiązało się ono już i ukonstytuowało.

Jak się dowiadujemy, podano także o koncesyą na kasyno artystyczno-literackie, celem którego ma być obok towarzyskiéj zabawy, urządzanie koncertów, teatrów amatorskich, stałych wystaw itd. Łaskawy a chętny współudział Pań, może nadać tym artystycznym usiłowaniom świetności i znaczenia. Podanie o ile wiemy, podpisali panowie St. Duniecki muzyk, Izydor Jabłoński malarz, Hip. Witowski literat.

Wszystko to zapowiada, że w zimie nie będziemy mogli uskarżać się na nudy. Słychać także, że wiele rodzin polskich, bawiących za granicą, ma zjechać na zimę do Krakowa. Niema więc obawy, aby Kraków wyludnił się przez odjazd kilkudziesięciu urzędników. Mało kartek bieli się na domach, z tego łatwo się domyślić, że mieszkańców nie brak — a po szkołach prawdziwe przeludnienie. Czy i w żeńskich pensyjonatach podobnież — nie wiemy, wiemy tylko, że liczba ich na ten rok się zmnożyła. O obecnym ich stanie, podamy obszerniejszą wiadomość, gdy zbierzemy statystyczne daty i szczegółowe objaśnienia.

Ale nie dość, że w mieszkaniach i szkołach pełno — nawet w teatrze bywa pełno. Od jakiegoś czasu musimy ten wypadek liczyć do osobliwości. Grano już kilka nowych komedyjek francuskich, dość zgrabnych choć bez wielkiego sensu moralnego. I tak z komedyi „Małe ręce“, wynieśliśmy naukę: że Opatrzność dając komu małe ręce, przeznacza go tém samém, aby nic nie robił, (ale żył z łaski tych, co mają duże ręce i przeznaczeni są do pracy), że hojność jest pracą bogatych. Przyznać jednak trzeba, że komedyja dość zręcznie prowadzona. *Les poseurs* (pozujący się) niewłaściwie „Komedyjantami“ w tłómaczeniu nazwani, pomimo kilku charakterystycznych i wcale zabawnych scen, w ogóle zawiodła nasze oczekiwanie. Autor miał ogromne pole, bo pozowanie się, jest dziś chorobą wieku; tymczasem zamiast pozujących się widzieliśmy poprostu zręcznych oszustów, ludzi bez charakteru lub drobne figurki i epizodziki, nienależące zupełnie do całości. — I jeszcze jedna komedyja (tak przynajmniéj stało na afiszu) „Pociecha Rodziny“ — jest to więcéj czuły obrazek dramatyczny niż komedyja, z popisową rolą dla artystki ról naiwnych. Grała tę rolę pani Parżnicka i przyznać trzeba, że jéj gra podtrzymywała uwagę słuchaczy i ożywiała sztukę nie zajmującą ani zawiązaniem intrygi, ani efektowemi scenami. Żona nie żyje z mężem, córka postanawia ich pogodzić i to jéj się udaje. Oto treść i rozwiązanie sztuki, które przewidujemy od pierwszego aktu. — Dla całości sprawozdania musimy tu wspomnieć o dwóch komedyjkach. Pierwsza: „Ciężka próba“ jest téj treści, że jakaś hrabina wdówka zgadza się pójść za mąż za kapitana od marynarki pod warunkiem, aby przez godzinę wstrzymał się od klęcia. — A kapitan bez tego żyć nie może. Tu sęk. Kapitan długo trzyma się, ale gdy w ciągu rozmowy wszedł na epizod bitwy pod Nawarynem, gdy przyszedł do opowiadania śmierci swego dowódzcy, z żalu i boleści zaklął przeokropnie. Ta głębokość boleści i przywiązania ujmuje hrabinę i oddaje mu rękę, choć nie dotrzymał warunku. — „Raptus“ jest komedyjka dość żywa, podtrzymywana wyborną grą pana Rapackiego, podobała się.

Ale byłbym zapomniał o dramatach. Na „Barbarze“ Felińskiego nie byłem. Może to grzech przeciw klasycyzmowi — przyznaję się do niego, bez obietnicy poprawy. Jeżeli potrzeba pokuty, to ją odprawiłem już poprzednio na „Annie Oświęcimownie“. Dramat ten czyta się dość przyjemnie, ale słucha z trudnością. Najciekawszą, najbardziéj natężającą uwagę słuchaczy rzeczą w dramacie powinnoby być owo poczynające się uczucie grzesznéj miłości brata i siostry, tłomaczące się niejasno, bojaźliwie, gdzieniegdzie ledwie naznaczone, a wszędzie przesiąkłe tragicznością, brzemienne katastrofą, którą zdala już grozi. Tymczasem jak skoro Anna w pierwszéj chwili ujrzenia brata uczuwa ku niemu miłość a on ku niéj — interes dramatu niknie — akcyja prawie ustaje, autor posiłkuje się epizodami pięknemi dla siebie, ale niepotrzebnemi w całości — jak ową deklamacyją Oświęcima o narodowym chlebie, lub rozwlekłym opisem boju. Do tego jeszcze wiersz zmieniający co chwila rytm, jest na wskróś liryczny, stósowniejszy do opery niż do dramatu. To się najwyraźniéj pokazało w roli Łaszcza. Łaszcz jest figurą najwięcéj może dramatyczną, dla tego liryczne deklamacyje raziły w jego ustach. — Nie pojmuję co zjednało temu dramatowi zeszłoroczne pochwały.

Zapowiedziana opera polska miała się rozpocząć we wtorek „Paziami“, nadto mieliśmy słyszeć uwerturę z „Walenroda“ Wł. Żelińskiego. Tymczasem nieprzewidziana słabość p. Borkowskiego odwlekła tę przyjemność na późniéj.

Zanim opuścimy teatr, musimy jeszcze wspomnieć o albumach ról p. Rapackiego i p. Modrzejowskiéj, wykonanych z wielką starannością przez p. Rzewuskiego. Album p. Rapackiego zawiera fotografije djabła z „Twardowskiego“, w czterech postaciach; barona z „Drzémki p. Prospera“; wujaszka ze „Ślubów Panieńskich“; starego jegomościa, Rubena w „Salomonie“; Tarnowskiego z „Barbary“; Jagiełłę z „Jadwigi“. Podziwiać musieliśmy znakomitą charakterystykę i grę fizyjonomii artysty. — Pani M. w kilkunastu fotografiach przedstawiła trudną i męczącą skalę uczuć od wesołego, figlarnego uśmiechu do szalonéj rozpaczy — a przedstawiła to bez charakteryzacyi, bez kostiumów, jedynie grą rysów.

Olbrzymi obraz p. Matejki przedstawiający protestacyą Rejtana na sejmie, podpisującym rozbiór Polski, jest już na ukończeniu i niezadługo wystawiony będzie na widok publiczny w sali Towarzystwa Naukowego, zanim zostanie wysłanym na paryską wystawę świata. Życzyćby sobie należało, aby i p. Gryglewski umieścił w téj sali swoje dwa obrazy, przedstawiające wnętrze katedry (kaplicę ś. Stanisława) i kaplicy Batorowskiéj (część drugą), które jak słyszymy, są już na ukończeniu.

Zakończę tém, czem zwykle kończymy w życiu — z wędrówki po świecie artystycznym, wracamy do chleba powszedniego. Chcę mówić o towarzystwie konsumcyjném, które się zawiązało w Krakowie. Członkowie płacą pewną wkładkę — za to mają prawo nabywania produktów z pierwszéj ręki po znacznie zniżonych cenach. Przy obecnéj biedzie życzyćby sobie należało, aby podobne stowarzyszenia i w innych miastach naszych rozpowszechnić się mogły. Podobno jednak użalają się panie gospodynie, że w sklepach stowarzyszenia dotąd sprzedawane produkta nie odznaczają się doborem. Lepiéj by było w każdym razie z początku ograniczyć się na mniejszym zysku, a nie zrażać członków.

Dowiadujemy się w końcu, że uzyskało także pozwolenie i zawięzuje się stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczéj, którego głównym celem jest pomoc moralna tj. oświata, czytelnia, odczyty itd. Szczęść Boże!

ROZMAITOŚCI.

Dla domowego użytku. — Maszynka do czyszczenia noży i widelców, wynalazku p. Mackay. Nabyć ją można w Lipsku u Pfitzmana. Jednym z najlepszych sposobów czyszczenia zardzewiałych metali, jest również posypać je popiołem ztytoniu i wycierać skrzypem zasuszonym.

— **Prosty sposób pomnożenia masła.** Po wydojeniu mleka nim się takowe do piwnicy wstawi, zbiera się śmietana z dnia poprzedniego i rozdziela się ją w stosunku jednéj szklanki na 4 kwarty świeżo udojonego mleka. Śmietana ta miesza się dobrze z pomienionem mlekiem, a zostając w spokojności, już w 12tu godzinach osadza się na wierzchu nadzwyczajnie gruba warstwa śmietany. Jeżeli powietrze jest bardzo wilgotne, należy więcéj dodać śmietany. Starsza śmietana służy do przyspieszenia wytwarzania się śmietany w świeżém mléku. Ponieważ jednak w takim razie śmietana prędzéj na powierzchni mléka się zbiera, aniżeli w zwyczajnym stanie tegoż, nie należy więc także tak długo ze zbieraniem śmietany odwlekać, inaczéj przez oddzielenie się cząsteczek tłuszczowych masła, cukier mlékowy przemieniłby się w kwas mlékowy. (G. prz.)

— **Aby kury wiele jaj niosły.** Mieszanie skorup z jaj lub wapna do strawy dawanéj kurom, które one z chciwością pożerają, sprawia to, że kury dwa razy więcéj jaj jak zwykle znoszą. Każde bowiem jajo otoczone jest skorupą, a materyjału na tę skorupę nie dadzą ziarna lub ziemniaki, ale substancyje składające też skorupę, to jest wapienne. (G. prz.)

— **Zachowanie kwiatów.** Na ostatniéj wystawie w Wrocławiu można było oglądać bardzo piękny wynalazek zachowania kwiatów w całéj ich świeżości, piękności i barwie, polegający na tém, że w półokrągłe czarki szklanne wkłada się kwiaty, jakoto: kamelije, azalije, róże i t. p. a następnie otacza się je ze wszystkich stron galaretową, przeźroczystą masą, poczem zamyka się je podobną szklanną pokrywą. Kwiaty po sześciu tygodniach wyglądały tak świeżo, jakby dziś zerwane były. Niema piękniejszéj ozdoby dla eleganckiego budoaru nad kwiaty tym sposobem zachowane. (G. prz.)

— **Maszyny do szycia,** szczególniéj wynalazku Howego, tak się rozpowszechniły w Ameryce, że liczba tych ostatnich, będących dziś w użyciu, wynosi 800,000 sztuk.

— W Paryżu założono **polski dom komisowy,** który podejmuje się odbierać polecenia z kraju i kupować wedle żądania: wyprawy dla panien, stroje modne i przedmioty do gotowalni potrzebne. Kupuje także i wysełа fortepiana, nuty, tudzież prenumeruje dzienniki francuskie. Adres tego bióra: „Mademoiselle Léocadie Stryjeńska à Paris, rue d'Astorg. 25.“

— Serce ludzkie odbywając na minutę 75 pulsacyj, zużywa w ciągu 24ch godzin siłę taką, która byłaby zdolną cetnar podnieść do wysokości 4463 stóp.

— W roku 1861 wprowadzono do Anglii herbaty 96 milionów funtów. Widać jaki jest ogromny odbyt tego nektaru.

Korespondencja „Kaliny“.

Panu M. Z. w Poznaniu. Humoreska Pańska nie kwalifikuje się do naszego pisma, bo jéj zbywa na humorze.

Panu W. U. w Strzeliskach. Dla uniknięcia reklamacyi wypisaliśmy byli na opasie, że z powodu wyczerpnięcia pierwszego nakładu mód, przesyłka takowych dla W. Pana spóźni się o dni parę. Zapewne W. Pan już je otrzymałeś.

Bióro „Kaliny“
jest obecnie przy ulicy **Mikołajskiej** Nr. domu **458** na dole.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.